

K. Zakrzewski: Kwestja reformy parlamentu. Z politycznego notatnika: Fantazja na bębnie. *W. A. Z.:* Światła i cienie etatyzmu. *Dr. Henryk Brojdy:* Foch jako symbol ideału politycznego Francji. *rt.:* O zdrowie młodego pokolenia.

CENA 50 GROSZY

PRZEŁOM

TYGODNIK · POLITYCZNY · ROK IV

KWESTJA REFORMY PARLAMENTU

Zaniechanie reformy skromniejszej wytwarza konieczność reformy radykalnej. Raz rozbudzone w parlamencie duchy destrukcji nie ustąpią, dopóki nie zostanie on przebudowany w posadach.

Artykuł Marsz. Piłsudskiego, bezlitośnie chłosczący parlamentaryzm polski i parlamentarzystów, postawił na porządku zagadnień ustrojowych w pierwszym rządzie *zagadnienie reformy parlamentu*. Zagadnienie to — powiedzmy raz sobie jasno — nie zostało dotąd właściwie ujęte. Stronnictwa opozycji parlamentarnej w swej postawie obrońców parlamentaryzmu prześlizgnęły się nad niem dość gładko i jasnym jest, że istotna, szczerza troska o uzdrowienie parlamentu jest im zupełnie obca. Ugrupowania, stojące na gruncie przełomu majowego, zainteresowania swoje przerzuciły natomiast na zagadnienie silnego rządu, zaniehbując w kompleksie spraw ustrojowych kwestję parlamentu. Oczywiście sprawy te związane są węzłami najściślejszej współzależności. Zagadnienie silnego rządu powstało na gruncie powszechnego zrozumienia niezdolności parlamentu do służenia za całkowite i dostateczne oparcie rządowi. Zrodziło się przeświadczenie, że rządy w Polsce muszą opierać się o osobę Prezydenta, wybieranego poza parlamentem; nie negujemy też, że ustanowienie normy prawnej dla takich rządów jest najważniejszym czynnikiem reformy Państwa. Ale wypełnienie tego zadania nie usunie z porządku dziennego sprawy reformy od wewnątrz samego parlamentu. Jeżeli bowiem parlament ma zachować należne mu miejsce w szeregu instytucyj państwowych (a będzie je miał — dla pracy ustawodawczej — nawet w razie całkowitej utraty prawa obalania rządu, przez projekt B. B. W. R. zresztą nieprzewidzianej), to nie może być on chorym członem całości,

kłopotliwym i wytwarzającym rozstrój przez swe wadliwe funkcjonowanie.

Od pierwszych swoich zeszytów „Przełom” głosi konieczność uleczenia od wewnątrz parlamentu, aby uczynić go zdolnym do owocnego wypełniania przypadających nań obowiązków. Rozwój wewnętrzny sytuacji w parlamencie świadczy jednak coraz wyraźniej o tem, że bez gruntownej, radykalnej reformy instytucja ta nie wydobędzie się ze swego smutnego stanu, którego miarą są niezwykle ostre, ale sprawiedliwe słowa prawdy Pana Marszałka.

Usiłowanie uleczenia parlamentu przez zmianę obowiązującego w nim regulaminu było szeroko omawiane na łamach „Przełomu”. W artykułach Stanisława Groniowskiego istnieją poważne podstawy do przypuszczenia, że Marsz. Piłsudski na początku pierwszej sesji ciał parlamentarnych, wybranych dn. 4-go marca ub. b. w ten właśnie sposób zamierzał podjąć reformę tej instytucji. Sprawa zmiany regulaminu nie stanęła jednak na porządku dziennym realnych prac parlamentu. Można by sobie zadać pytanie, czy klub rządowy w sejmie znalazł się w tej sprawie na wysokości zadania i czy spełnił to, co do niego należało, aby sprawę regulaminu sejmowego uczynić aktualną. Pytanie byłoby dzisiaj niewczesne wobec istnienia faktu dokonanego, że sprawę zmiany regulaminu B. B. W. R. zarzucił dla sprawy bezwarunkowo bardziej zasadniczej i doniosłej, dla sprawy zmiany konstytucji. W dzisiejszym stanie rzeczy należy zwątpić w to, aby parlament

polski był w stanie zreformować się na tej drodze, aby opracował nowy, istotnie usprawniający jego pracę regulamin i umiał następnie — co jest gwarancją poprawy stosunków — do regulaminu tego się stosować, raczej przestrzegając jego ducha, aniżeli, co w tym wypadku grozi, doprowadzając do absurdu jego literę (jak uczynił z Trybunałem Stanu).

Zaniedbanie reformy mniej obszernej szybko pociąga za sobą konieczność większej, gruntowniejszej. Prawdą ową można zastosować do kwestji regulaminu, zarówno, jak i do kwestji ordynacji wyborczej. W tej ostatniej kwestji nasuwa się kilka uwag. Zreformować parlament przez rewizję ordynacji wyborczej — jest to w dziedzinie zagadnień ustrojowych program klubów centrowo - prawicowych, zgrupowanych dokoła b. Związku ludowo-narodowego. Znane są ich usiłowania w tej dziedzinie, datujące się z r. 1927. Inicjatorzy rewizji, rzecz szczególna, zamierzali utrzymać w mocy prawo wyborcze pięcioprzymiotnikowe, wykoszlawiając je tylko w sposób mogący, jak im się zdawało, zapewnić zwycięstwo wyborcze obozowi gabinetów witosowych. Znaczna porażka tego obozu w walce wyborczej z B. B. W. R., rozwiewając te iluzje, ochłodziła bardzo zapędy do karykaturyzowania obecnej ordynacji wyborczej, skoro okazało się, że wyborca ze środowisk, pozostających pod wpływem ruchu N. D., „posiadający”, czy drobnomieszczański, bynajmniej nie jest wierny politycznie i zapewnienie mu przewagi w sposób „sofistyczny” (jeszcze Arystoteles pisał o „s sofistycznej” oligarchji pseudodemokratycznej), bynajmniej jeszcze nie gwarantuje zwycięstwa pp. sofistom.

Nie wynika z tego, aby nie należało, czy też nie było możliwe, poddać rewizji ordynacji wyborczej. System de Hondta z jego przypadkowymi wynikami, głosowanie na „numerki”, bez zapewnienia wyborcy wpływu na dobór wybieranych kandydatów (nawet w obrębie danej listy), dość dowolny sposób repartycji mandatów z listy państwowej (nie od złożonych głosów, ale od zdobytych mandatów) przedstawiają tyleż braków obecnie obowiązującej ordynacji wyborczej, które żądanie jej zrewidowania czynią popularnym w społeczeństwie. Nie nastąpią jednak ulepszenia, jeśli zechce się na drodze obranej przez b. Związek Ludowo-Narodowy karykaturyzować proporcjonalizm, zachowując jego literę. Nie sądzimy jednak także, aby istotną naprawę przyniosło porzucenie proporcjonalizmu i przejście do okręgów jednomandatowych. Doświadczenie francuskiej reformy wyborczej z r. 1927 nie jest bynajmniej zachęcające. Odbyte na tej podstawie wybory do *Palais Bourbon* rozegrały się w atmosferze intryg, banalnych trików i manewrów personalnych, oraz demagogji, grającej na instynktach najbardziej wstecznego kulturalnie elementu wyborczego; w rezultacie zaś wybrana izba nie okazała się pod żadnym względem lepsza od poprzedniej.

Zmiana ordynacji wyborczej jest jednak możliwa także i bez schodzenia z gruntu pięcioprzymiotnikowego pra-

wa wyborczego. Chodzi o to, aby uzyskać wyraźny werdykt wyborców i rozdział mandatów (między osoby, nie między „numerki”), stosownie do oddanej ilości głosów, a więc jak najślusznieszy z punktu widzenia formalnie-demokratycznego rezultat wyborów. Możliwości takie istnieją, czem niejednokrotnie zajmował się na łamach „Przełomu” cytowany już Stanisław Groniowski.

Ale zmieniając w ten sposób ordynację wyborczą, bynajmniej jeszcze nie zapewniamy parlamentowi istotnie lepszego składu, oraz istotnie większej sprawności. Parlament, pochodzący z wyborów powszechnych, będzie zawsze emanacją masy, dokonującą się na każdej innej podstawie, tylko nie na podstawie rzeczowego doboru. Będzie to ciało, złożone zawsze z zawodowych polityków, a nie ze społeczników, z ludzi więcej popularnych, a nie więcej kompetentnych. Masa, złożona z jednostek z natury zdrowych, nieuchronnie będzie wybierać jednostki od siebie gorsze, umiejące narzucić się jej przez zastosowanie odpowiedniej agitacji. Znaczna część społeczeństwa składa się zresztą — długo jeszcze ten stan rzeczy będzie istniał — z czynników ciemnych, pozbawionych wychowania obywatelskiego, a n a l f a b e t y c z n y c h w dosłownem i przenośnem znaczeniu, inna zaś z czynników zafananych, społecznie i kulturalnie r e a k c y j n y c h; j e d n e i d r u g i e w akcie wyborczym kierują się wyłącznie materialistycznymi instynktami i wpadają w niewolę najbezpieczniejszej demagogji. Czynniki te decydować będą częściowo o składzie każdego naszego parlamentu. Częściowo zaś wejdzie w ten skład emanacja tych odłamów ludności, należących do etnicznych mniejszości, które organizowane są i długo jeszcze będą pod znakiem separatyzmów, znajdujących ostoję w mocarstwach ościennych.

Wszystko to będzie ujemnie wpływało na skład parlamentu także przy najlepszym regulaminie i najdoskonalszej ordynacji wyborczej.

Cóż z tego wynika? Otóż w innych warunkach wszystkie te obciążenia parlamentu, które albo są wynikiem przyczyn natury ogólnej, oddziaływujących pod każdą szerokością geograficzną, albo też powracają w tych, lub innych warjantach w różnych krajach, mających mniejszości etniczne, byłyby utrudniały prace ciał parlamentarnych i wywoływały „kryzys” przewlekły, ale łagodny, nie wytwarzając konieczności reformy radykalnej i natychmiastowej. Tak np. parlament czechosłowacki, równie obciążony, jak nasz, ale bardziej świadomy tego i wyciągający stąd konsekwencje, ograniczając się do rzeczowej pracy, nie wywołuje ostrego kryzysu państwowego. Przynajmniej dotychczas tak było! U nas natomiast parlament, zmobilizowany do walki z siłami, wytworzonymi przez przewrót majowy, wszedł w sytuację, w której nie może się już oprzeć przenikającym go rozkładowym tendencjom, ani też opanować swego destrukcyjnego oddziaływania na Państwo. Powtórzmy raz jeszcze: *zaniedbanie reformy*

skromniejszej wytwarza konieczność reformy radykalnej. Raz rozbudzone w parlamencie duchy destrukcji nie ustąpią z tego gmachu, dopóki nie zostanie on przebudowany w posadach.

Tej właśnie kwestji złożone do łaski marszałkowi projektów dotyczą tylko pobieżnie i bagatelizują ją najwyraźniej. Projekt B. B. W. R., wnoszący najgruntowniejszą rewizję konstytucji, otoczył gmach parlamentu ze wszystkich stron strażami licznych paragrafów, aby ubezwładnić grasujące tam duchy, ale samego gmachu niemal nie dotknął. Reformy parlamentu nie przynosi. Nie daje tej reformy podniesienie wieku wyborców i kandydatów, pomysł zapożyczony z dawniejszych projektów b. Związku Ludowo - Narodowego, ograniczający prawa młodzieży, zresztą zaś pozbawiony znaczenia praktycznego, czy teoretycznego. Nie opiera też ów projekt senatu na innej, aniżeli sejm zasadzie, bo tego nie wnosi pomysł, mogący być broniony, lub zwalczany, ale zresztą idący po linii

najmniejszego wysiłku, aby trzecią część senatu obsadzić jednostkami, mianowanymi przez Prezydenta. Poza to projekt B. B. W. R. pozostawia wszystko po staremu w ciążach parlamentarnych. W tej dziedzinie wcześniejszy projekt Związku Naprawy Rzplitej był stanowczo obfitszy w nową treść; pozostawiając bowiem niezmienną strukturę Izby Poselskiej, pragnął oprzeć senat na podstawach, czyniących zadość postulatowi rzeczowego doboru członków tego ciała parlamentarnego.

Projekt B. B. W. R., przenosząc — zgodnie z koniecznością — centralny ośrodek prac państwowych poza parlament, na urząd Prezydenta i powołane przez niego rządy, samej instytucji parlamentu nie uzdrawia. Zagadnienie uzdrowienia parlamentu, stawiane od szeregu lat systematycznie i coraz mocniej przez marsz. Piłsudskiego, istnieje jednak i dla dobra Państwa musi być rozwiązane i to w sposób demokratyczny.

K. Zakrzewski

Z NOTATNIKA POLITYCZNEGO

FANTAZJA NA BĘBNIE

Habemus papam!

Mamy nowy rząd! W braku armaty (niech nikt złośliwy nie śmie pomyśleć czasem, iż użalam się na ten wielki w swoim uzbrojeniu defekt, bo chciałbym naszym nowym rządem... uszczęśliwić księżyc), w braku więc armaty, co uniemożliwia mi oddanie — ku czci nowego namiestnika Dziadkowego na kraj i zagranicę (wraz z ul. Wiejską) — 21 wiwatowych strzałów (coż robić, jest się tylko doboszem, a nie kanonierem! *) — chwytam, jak na czujnego dobosza przystało, swój bęben, puszczam w ruch pałeczki i werbel biję. — Na powitanie Swita-

*) Zdradzę tu cytelnikom pewną tajemnicę redakcyjną. Podobno p. redaktor chciał zaangażować na stałe do „Przełomu” — kanoniera. Oparł się temu p. wydawca, który uważał, iż kanonier za dużo narobi huk, ludzi zbyt nastraszy, i może jeszcze spowodować interwencję policji, albo i żandarmerji. Tymczasem dobosz swem bębnieniem niczego nie zdemoluje, ludzi nie przerazi, przeciwnie — wywołać może zbiegowisko, a jeśli będzie wytrwały i uporczywy, będzie umiał zręcznie i szybko pałeczkami przebierać i bębnić, bębnić, bębnić (po plecach wszystkich) — to być może coś nie coś z tego bębnienia przeniknie do uszu tego, czy innego dygnitarza; — a choć się odeń, jak od muchy natarczywej ze złością opędzać będą — to jednak może swem bębnieniem dobosz coś nie coś wskóra.

...jącego nam nowego okresu pomajowej ery.

*

Było, czy nie było?

„Było” — wrzeszczy opozycja — „i trwało blisko trzy mendle dni”. Opozycja nasza umie liczyć, mocna jest w dodawaniu (jest to nawet jedyna rzecz, w której jest mocna). P. P. Trąmpczyński (mniejszość nacjonalistyczna), Grünbaum (mniejszość narodowa), Lieberman (mniejszość ciekawistyczna) — wszystkie te mniejszości razem wzięte stanowią jedną większość... sejmową — ci więc trzej najbardziej reprezentatywni przewodcy mniejszościowej większości zdjęli, jeden z drugim, buty i zaczęli zliczać „dni przesilenia” od historycznego już dziś wieczoru, w którym p. Bartel, kładąc się do łóżka, stęknął: „Aj, moje nerki!” „I wogóle, psia krew, nerwy coś mi ostatnio nie dopisują! A wszystkiemu winien Sejm.. Obiecałem mu i zamknięcie uzupełniające, i rozrachunek kredytowy, i jeszcze zdaje się coś, czego już nie pamiętam, i wykład dlań zrobiłem... z wykresami — wysiliłem się, jak nigdy dla swych studentów — a oni wciąż niezadowoleni, wciąż wrzeszczą. I jeszcze chcą mi zamknąć ministra do trybunału. Chyba się poddam do dymisji!” Ze zaś, jak wiado-

mo, ściany mają uszy, przeto stęknęcie pana Bartelowe, którem sobie ulżył, odbiło się głośnie echem w kularach „kochanej, starej budy” przy ul. Wiejskiej. Od tej chwili zaczęło się cierpliwe liczenie. Na szczęście (dla opozycji) p. Bartel złożył istotnie dymisję na ręce p. Prezydenta — maluczko bowiem, a wszyscy posłowie opozycyjni (nie wyłączając p. Witosa) chodziliby boso.

A więc: było, czy nie było? — „Nie było” — woła groźnie naczelny dziś organ pomajowego regime'u. Była tylko zmiana warty, kontredans przyjaciel. Przyjaciel przyjacielowi przyjacielską oddał usługę: do „telefonu” poprosił (telefon był z Belwederu!) a przy sposobności bieżącą „pocztę” mu oddał. Przyjaciel przyjacielowi przekazał „pracę” i „opiekę” nad „chorymi” powierzył — ale, podobno, z powodu tej przyjacielskiej grzeczności „cekawistom” zimno się zrobiło w krzyżach i szpik w kościach zleka zamarzl. Już nie groźnie i buńczucznie — jak przed paru tygodniami — lecz smętnie, półgłosem nuci duet Niedziałkowski — Żuławski znane słowa starej pieśni: „Skończyły się dni pobłażania”...

Są więc tacy, co twierdzą kategorycznie, że przesilenia nie było. Nie było, i koniec! Była tylko zmiana przyjaciel - ministrów. No, ...i preze-

sa nad ministrami. Choć właściwie, to co przed chwilą napisałem nie jest ściśle. Prezesa nad ministrami — zastąpił major nad pułkownikami. Tylko gdzie tu hierarchja?

Trzeba jednak zdecydować się. Było, czy nie było? Decydujemy się: nie było. Przesilenia nie było (było co najwyżej wysilenie nerkowe p. prof. Bartla). Natomiast była zmiana rządu.

Zmiana rządu bez przesilenia — oto druga wielka nowina, wielkie objawienie, które obębniła dziś dobosz „Przełomu”.

*

A jak tam z „kursem”?

Z kursem? O jakim kursie mowa? Rządowym czy giełdowym; politycznym, czy dolarowym? Większość obywateli tym ostatnim bodajże bardziej się interesuje, niż pierwszym. Zresztą są to, podobno, wielkości współzależne. Na tych sprawach nie zna się, naturalnie, dobosz. Tu kanonier nie wystarczyłby nawet. Potrzebny byłby chyba sam pan sierżant prowiantowy, albo i rachunkowy, może. Więc tylko parę uwag na marginesie — dyktowanych zdrowym sensem, a zatem będących zapewne herezją ekonomiczną. Chodzi o tę nieszczęsną współzależność. Gdyby była ona tylko jednostronna, gdyby kurs giełdowy zależny był od kursu politycznego „*faites moi de la bonne politique — je vous ferai de bonnes finances*”) — ale nie odwrotnie, to możnaby uznać, że wszystko jest w porządku. Gorzej jest jednak znacznie — wręcz źle nawet — że kurs giełdowy (nie tylko walut, ale papierów, akcji i t. d.) decyduje często o „kursie” politycznym. W ten sposób bowiem „tajemnicze moce” — finansjera rodzima i międzynarodowa — paraliżować mogą w znacznej mierze dążenia rozwojowe państw (zwłaszcza ekonomicznie słabszych), niweczyć plany rządów, wiązać im ręce, poprzez spekulacyjnie wytworzone kursy giełdowe oddziaływując destrukcyjnie na życie gospodarcze i naginając w ten sposób politykę poszczególnych państw do swych celów i zamierzeń.

Również i w obecnej sytuacji „kurs giełdowy” (używam tego wyrażenia nie w znaczeniu dosłownym, lecz raczej jako pewien symbol ukrytego działania sił i — zwłaszcza

„sfer” gospodarczych) — również wtedy i w sytuacji obecnej „kurs giełdowy” wpływać będzie w znacznej — obawiać się można, że nawet w zbyt znacznej mierze na kurs polityczny. Nowy rząd — tak skonstruowany — winien bodajże mieć przede wszystkim za zadanie odniesienie ostatecznego zwycięstwa nad działającymi jeszcze w społeczeństwie i życiu państwowym destrukcyjnymi siłami systemu przedmajowego. Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie chodzi bynajmniej o to — i nikt chyba, poza nielicznymi bardzo okazami monarcho - łaszysmu, tego nie pragnie — by rząd p. premiera Świtalskiego prowadził politykę awantury, politykę burzycielską i negatywną. Rzecz w czem innym. Należy z rzeczywistości przedmajowej uczynić wreszcie tabulam rasam. Rząd p. prof. Bartla miał za zadanie ułożyć w ramach tworzącej się nowej rzeczywistości państwowej współdziałanie rozbieżnych często sił. Dziś chodzi o wyłączenie z obwodu tej rzeczywistości prądów rozkładowych, o całkowite ich izolowanie, by nie mogły czerpać energii z życia państwowego i — tem samym — albo znikły, albo przerodziły się.

Opinia kraju uważa — słusznie, czy niesłusznie — że obecny rząd składa się z najbardziej zdecydowanych ludzi obozu Marszałka Piłsudskiego. To też wymaga od nich wyraźnej linii, dojrzałego czynu, spokojnej stanowczości, zdecydowania w działaniu.

Czy „kurs giełdowy” i urabiające go zakulisowe wpływy pozwolą nowemu rządowi — noszącemu, mimo wszystko, charakter wybitnie polityczny — na spełnienie tych zadań? Czy chęć dania zastawów uspokojenia, celem przeciwdziałania renomie „rozgrywkowej” (w ujemnym, nb. tego słowa znaczeniu), jaką go, dla tych czy innych względów i celów otoczono — nie zacięży tak silnie na linii rządu, iż stanie on się tylko nowym wydaniem gabinetu p. Bartla, choć nastąpiła ewolucja sytuacji i winniśmy przebyć dalszy etap?

I znów należy uniknąć możliwego nieporozumienia. Wszystko to, co napisałem wyżej, nie znaczy bynajmniej, by rząd nie miał liczyć się bardzo poważnie z koniecznościami gospodarczymi i finansowymi Państwa, by jedną z naczelnych jego trosk nie miało

być czuwanie nad ciągłym rozwojem i postępowaniem ekonomicznym kraju. Obok jednak działalności gospodarczej istnieją inne, pilne bardzo zadania, zmierzające od tej czy innej strony do stabilizacji sytuacji w Polsce, zmierzające do wprowadzenia Państwa — poprzez dokonanie tych zadań — na drogę normalizacji stosunków i harmonijnego, wszechstronnego rozwoju. Ale nie można utrzymywać sytuacji pośrednich, oraz mających jeszcze możliwość działania sił rozkładowych. Należy uprzednio oczyścić atmosferę, wyjaśnić ostatecznie — (w duchu ideologii Rewolucji Majowej — sytuację w Państwie, a wówczas natychmiast i ostatecznie ją stabilizować. Dokonanie koniecznych prac przedstabilizacyjnych, przygotowanie okresu pełnej realizacji haseł Rewolucji r. 1926 — oto najważniejsze i najpilniejsze, zdaniem naszym, zadania nowego Rządu.

P. premierowi dr. Świtalskiemu pozwalamy sobie życzyć ŻELAZNEJ RĘKI W AKSAMITNEJ RĘKAWICZCE.

„Żelazna ręka w aksamitnej rękawiczce” — oto zdaniem dobosza „Przełomu” istota „kursu” politycznego, który winien być obecnie zastosowany.

*

Jak to na wojence ładnie!

— „Kiedy ułan z konia spadnie
Towarzysze nie żałują
Jeszcze końmi go tratuja” —
— nucił podobno p. Meysztowicz po przeniesieniu go z posady ministra Sprawiedliwości na stanowisko dyrektora banku w Wilnie. Prasa faszysto - konserwatywna odpląca dziś poniekąd pięknem za nadobne (*toutes proportions gardées*) p. prof. Bartłowi za zachowanie się niektórych niekonserwatywnych organów prorządowych w momencie dymisji p. Meysztowicza. Czyni to, szczypiąc go i skubiąc bez miłosierdzia w... parlamentarne miejsca. (Nie, nie pomyliłem się, proszę Pani, właśnie że w parlamentarne!)

*

Gaudeamus igitur!

A co się działo bezpośrednio po głośnym artykule p. Marszałka z dn. 7 kwietnia b. r.! Pełni świętego ognia konserwatyści i monarchiści obuli Dziadkowe buty, które im naturalnie pachy sięgają, i hajże hasać przez

ploty i rowy, po ugorach polskiej rzeczywistości!

W butach Dziadkowych się zaplątali, noskiem w piasek utknęli.

A jacy byli z początku buńczuczni, jacy pewni siebie i zadzierzysci! „Słowo” i „Dzień Polski”. P. Cat i p. Piasecki.

„Gdzie — wołali — jest w Polsce ustrój przedstawicielski; gdzie podziela się demokracja?” „Co się z nami stało? Nawet przez lupę nie możemy ich dostrzec!” GAUDEAMUS Igitur! (następne trzy słowa piosenki czytelnik sam sobie dośpiewa: dobosz „Przełomu” bębni tylko po plecach).

Pewien entuzjasta — a może to był cynik? — podziwiał rozmach, śmiałość (jak mówił) i odwagę przekonania naszych neo-konserwatystów^{**}). Ale ktoś z boku przerwał mu w zapale: „Odwaga nie zawsze jest bezinteresowna”. „Jakto — zdziwił się entuzjasta (nie, to chyba stanowczo był cynik) — czegoż pragnąć mogą jeszcze konserwatyści? Przecież dla nich był Dziadek wielce wspaniałomyślnym księciem”. „Ba — odpalił tamten — zapomina Pan, że przełknięte kąski nie mają już smaku”. — Jesliby który z przewodców konserwatywnych słyszał tę rozmowę, byłby zapewne szczerze zmartwiony. (Dobosz ze swej strony na wypadek gdyby ktoś niedyskretny rozmowę tę któremu z pp. przewodców powtórzył, składa zgóry swe szczerze kondolencje).

Omyłka nie liczy się. Zaczynamy na nowo!

Po paru dniach jednak wezbrane groźnie fale konserwatywne^{***}) nagle opadły.

W artykułach wzięto o parę tonów niżej: p i a n o, p i a n i s s i m o! Noski na kwintę. Jak to tam jest — Szanowni Panowie — z tą demokracją i ustrojem przedstawicielskim w Polsce? Czy dostrzegacie je już gołębkiem?

^{**}) Po polsku: młodo-konserwatystów (uw. sekretarza red.).

^{***}) Zachodziła obawa wylewu.

Jest przecież rząd „pułkownikowski” — a wy... jakoś macie... niewyraźne miny. Wycofujecie się, „na zgóry upatrzone pozycje”. „Dzień Polski” interpretuje oficjalnie i autorytatywnie artykuły, które się uprzednio na jego łamach ukazały, by im — przy tej okazji — nadać w miarę możności inny sens i natężenie. P. Cat ofiaruje gorącą i dozgonną przyjaźń demokratom wileńskim, zdecydowanym obrońcom liberalnego parlamentaryzmu.

Pomyliliście się, Panowie! Nie zrumieniście intencji Piłsudskiego. Rzeczywiście, przykra sprawa. Dziwić się Wam jednak niema czego. Nie od tak dawna Go znów znacie.

Ale omyłka nie liczy się. Zaczynamy na nowo!

*

Uwaga na marginesie.

Niech nikt z tego co wyżej nie wynioskuje czasem, że dobosz „Przełomu” ma głupią a niewczesną pretensję interpretowania myśli pana Marszałkowej. Stwierdziło się tylko po prostu, że w danym wypadku — ot trafunkiem pewnie — miało się rację. I przypieczętowało się to pałeczkami na bębnie. Zwyczajnie — doboszowska rzecz! A zawsze dobosz ma chyba prawo być krzyneckę dumny z tego, że dobrze Pana Dziadka zrozumiał. I to wszystko!

Więc bez urazy! Omyłka nie liczy się. Zaczynamy na nowo!

*

Nie oklaskujcie mię! Starajcie się mię zrozumieć!

Gdy pisałem o pomyłce konserwatystów — przyszło mi na myśl wspomnienie o Jaurès'ie (dziwna asocjacja myśli, — prawda, nadobna i cierpliwa słuchaczko przydługiego już nieco bębnienia? Bywają jednak i takie: — asocjacje myśli, nie słuchaczki. Takich słuchaczek niema). Ale zamknijmy nawias. — Chcę, jednym słowem, uraczyć czytelników — w celach pedagogicznych — ściągnięciem skądś wspomnieniem o Jaurès'ie.

Wielki trybun ludowy — i mąż sta-

nu — nie zawsze był rozumiany, nawet przez sztab swych bliskich współpracowników. Bolał nad tem. Cierpiał w skrytości ducha, widząc jak jego wysiłki — co potężniejsze — były niemal systematycznie wynaturzane^{****}).

Zdarzyło się pewnego razu, iż Jaurès przemawiał w jednej z sal Montmartru przed elitą partyjną Paryża na temat teoryj antypatryjotycznych (mówiąc językiem współczesnym — antypaństwowych) sławetnego Gustawa Hervé. Entuzjazm audytorjum graniczył chwilami z szaleństwem. Oklaski huczały, jak grzmoty. Jaurès — raz, drugi i trzeci — wydał się być zdziwiony, jakby zaskoczony temi aklamacyjami i momentem, w którym miały miejsce. Po nowej manifestacji przerwał swe wywody i z akcentem tak głębokiej i smutkiem nabrzmiałej szczerości, że cała sala zamarła w trwożnym milczeniu — zawołał: „Błagam Was, przyjaciele, nie oklaskujcie mię więcej. Starajcie się jedynie mię zrozumieć!”

*

„STARAC SIĘ ZROZUMIEĆ” —

tę naukę, daną przez Jaurès'a słuchaczom z sali na Montmartre, winniśmy zawsze mieć przytomną w umyśle, by nie zmarnować wielkich wysiłków, wielkiej pracy Tego, co na straży Niepodległości i potęgi Polski stoi, co otwiera przed Nią nowe drogi rozwoju, po których krocząc Naród będzie jedynie mógł spełnić swój najwyższy obowiązek: „być jako Państwo”.

Lecz by zrozumieć Jego drogi musimy myśleć i działać samodzielnie, musimy dać swą solidną, codzienną pracę, naprostowując jej kierunek bez fałszywego wstydu na właściwe tory, gdybyśmy się zagubili.

I im większa ciąży na kim odpowiedzialność, im większemi rozporządza wpływami — tem sumienniej musi odnajdywać wśród gęstwiny interesów, ambicji i leniwych nawyknień — właściwe szlaki, — tem ściślej musi się ich trzymać.

Dobosz „Przełomu”

^{****}) Wspomnienia o Jaurès'ie — Victora Meric'a.

Na fundusz dyspozycyjny Ministra Spraw Wojskowych złożyli w dalszym ciągu w redakcji „Przełomu”: Jerzy Barański: 20 zł.; dr. Kaz. Narkiewicz (Garwolin): 10 zł.; Wincenty Kapuściński (Niedźwiedzie): 3 zł.; Józef Horodeński: 5 zł.

ŚWIATŁA I CIENIE ETATYZMU

Etatyzm wyrósł na granicy między będącym w rozkładzie światem mieszczańskim, a opanowanym przez atrofję woli światem pracy, pogodzonemi na gruncie wspólnej ideologii liberalizmu politycznego. (K. Zakrzewski w Nr. 7-ym „Przełomu”).

Problem etatyzmu, w gospodarczej polityce państwa ostatnio bardzo żywo zajmuje umysły. W ożywionej dyskusji publicystycznej, poświęconej temu zagadnieniu, które i w „Przełomie” zajęło dotychczas sporo miejsca, krzyżują się ze sobą najróżniejsze zdania i zalecenia. Ma ten problem dwie różne strony: inaczej się przedstawia oglądany pod kątem bieżących, codziennych posunięć, dyktowanych najróżnorodniejszymi koniecznościami, zupełnie zaś inaczej ustosunkować się doń musimy, jeżeli spojrzeć nań zechcemy z perspektywy dalszej, zasadniczej linii naszych dążeń i o dziejowym rozwoju pamiętającej racji stanu.

Na wstępie podnieść trzeba pewne rozróżnienie niedostatecznie nieraz przestrzegane w tej dyskusji. Mianowicie problem właściwego etatyzmu, — właśnie w ramach bieżących posunięć, — stanowi zaledwie część interwencyjnej polityki gospodarczej państwa, t. zn. polityki wywierania przez państwo, wbrew zasadom liberalizmu gospodarczego, wpływu na całokształt gospodarstwa w państwie, ale zaledwie jedną z jej bardzo licznych i różnolitych gałęzi. Wszak w całokształt tej polityki wchodzi tak ważne dziedziny, jak polityka kredytowa, taryfowa, transportowa, polityka socjalna państwa, by wymienić przykładowo choć kilka dziedzin. Wszystkie one wywierają na gospodarstwo ogromny wpływ i mogą być przez państwo racjonalnie używane dla należytego prowadzenia ogólnej linii rozwoju gospodarczego. Jeśli będziemy o tem pamiętali, unikniemy błędnych uproszczeń i nieporozumień, zaciemniających tylko zagadnienie.

Analizując samo zjawisko etatyzacji gospodarczej polityki państwa, zauważymy, że w naszych warunkach trzema drogami opanowuje państwo produkcję:

- 1) przez politykę inicjatywy gospodarczej;
- 2) przez politykę nadmiernego kredytowania produkcji prywatnej;
- 3) przez politykę samowystarczalności państwa, jako konsumenta.

Te trzy dziedziny rozpatrzyć należy, aby sobie wyrobić należyty pogląd na całość zagadnienia.

Zacznijmy od tej, jaka dziś już najmniej przedstawia wątpliwości — od polityki hojnego kredytowania produkcji prywatnej. Pierwsze doświadczenia nasze w tym kierunku datują się niemal od pierwszych chwil istnienia państwa, punkt szczytowy zaś tej polityki przypada na okres rządów p. Grabskiego. Z początku wyglądało to wzniosłe: widziano w gospodarstwie polskim tyle luk i próżni — przecież trzeba je zapełnić! Ale do stworzenia warsztatów pracy trzeba dużo pieniędzy; o pieniądze te kołatano do skarbu państwa, jako jedyne źródła. Z tych to czasów pamiętamy osobliwe afery: dobry przykład przedstawia ta fabryka lotnicza, która zdołała uzyskać zamówienia rządowe, potem otrzymała na rzecz tych zamówień pokaźne zaliczki — a skoro zaliczki te otrzymano, przystąpiono dopiero do zakładania samych warsztatów. Sprawa oczywiście zakończyła się fatalnym skandalem dla „pioniera nowej dziedziny przemysłu”. Te nieraz bezdennie naiwne, nieraz zupełnie bandyckie poczynania wprędce oczywiście zdołano opanować; ale

wtedy dopiero rozwinęła się właściwa linja tej szkodliwej polityki, polegającej na tem, że przedsiębiorstwom, w których działalności państwo było zainteresowane, udzielano za pośrednictwem banków państwowych olbrzymich kredytów (jakby ukryta inicjatywa państwa). W ten sposób obciążenie hipoteczne tych przedsiębiorstw na rzecz państwa nieraz przekraczało 50 proc. wartości, państwo stawało się ukrytym właścicielem przedsiębiorstwa, ale nie partycypowało w dochodach, ani nie zyskiwało należytego wpływu na jego kierownictwo. Jak zgubnym z drugiej strony na ogólną sytuację finansową był wpływ ogromnych kwot, topionych w ten sposób nieprodukcyjnie, wykazano już dostatecznie silnie. Te doświadczenia powinny być wystarczającym ostrzeżeniem raz na zawsze na przyszłość.

Jeżeli chodzi o wypełnianie luk w gospodarstwie polskim, o inicjowanie tych dziedzin, których doraźna i paląca potrzeba daje się odczuwać, jedynie racjonalną metodą — i to, dodajmy, metodą, która przewyższyła nawet bodaj oczekiwania — jest zupełnie bezpośrednio, otwarte angażowanie się państwa, jako pioniera produkcji. W tej dziedzinie posiadamy przykłady, któremi doprawdy poszczycić się możemy. Chorzów, Gdynia, Tarnów! Gniewają się niektórzy, że państwo, schodząc do roli producenta, wykracza poza właściwe granice swojej działalności, że to należy do inicjatywy prywatnej, która „powinna była” zainteresować się temi dziedzinami, rentownymi, a pożytecznymi zarazem, że tą drogą państwo w sposób szkodliwy tejże inicjatywie prywatnej w drogę wchodzi! Cóż, polemika z temi głosami dziś już byłaby wyłamywaniem drzwi otwartych. Zauważyć tylko pragniemy, że działalność taka ze strony państwa w naszych obecnych warunkach tam tylko jest wskazana, gdzie chodzi o wkłady, wywierające na całokształt gospodarstwa krajowego wpływ szybki i bezpośredni. Nasze przykłady sprawdzają właśnie tę tezę. Produkcja nawozów azotowych związana jest bezpośrednio z rentownością gospodarstw rolnych, a zatem z konsumpcją najszerszych mas włościańskich — że zaś akcja nawozowa należy do inwestycji, zwracających się już po upływie roku, doniosłość wpływu inicjatywy w tym kierunku uwypukla się wyraźnie, i niedługo już zapewne dostaniemy w ręce cyfry, ilustrujące wpływ „Azotarnowa” na produkcję rolną. Jaką zaś rolę Gdynia odegrała w czasie wielkiej kampanji węglowej, jak wielki jest ciągle jej wzrastający wpływ na, że tak powiemy, racjonalizację, oraz należyty rozwój naszego handlu zagranicznego i na kształtowanie się bilansu płatniczego (pomijając już niewątpliwie istniejące czynniki natury raczej politycznej — nie trzeba chyba dowodzić.

Oczywiście tego rodzaju działalność — jeśli ma przynosić spodziewane rezultaty, wymaga kadr pracowników, stojących na najwyższym poziomie wykształcenia zawodowego, zdolności organizacyjnych i nieskazitelności obywatelskiej. Tacy właśnie ludzie przeprowadzali omawiane przez nas prace i gorąco życzyć sobie należy, żeby na ich modłę urobione były kadry tych, którzy w dalszym ciągu gospodarczą potęgę Rzeczypospolitej będą budować.

Kwestja samowystarczalności państwa jako konsumenten-

ta stanowi problem najbardziej zawikłany, zahaczający o niezmiernie trudne zagadnienie stosunku państwa do procesu kartelizacji produkcji i związanej z tem tendencji do śrubowania cen skartelizowanych produktów. Szczegółowe omówienie tych związków przekracza ramy niniejszego artykułu. Na tem miejscu stwierdzić tylko możemy, że w tej dziedzinie polecenia godną wydaje się najdalej idąca ostrożność i powściągliwość. Środki bowiem, jakimi operuje wogóle nasze gospodarstwo, w szczególności zaś państwo, są ciągle i długo jeszcze będą niezmiernie szczupłe w stosunku do ogromu potrzeb i prężności rozwojowej. Polityka zaś w tym kierunku łatwo doprowadzić może do dalszej rozbudowy tych gałęzi produkcji, które w zupełności wystarczają do pokrycia wewnętrznej konsumpcji i z trudem walczyć muszą o ekspansję na obcych rynkach — rozbudowa więc taka, przez państwo inicjowana wydawać się może nadmierną hojnością, jeśli nie marnotrawstwem.

* * *

Jeśli przejdziemy do drugiej strony omawianego zagadnienia, do ujęcia zjawiska etatyzmu z dalszej perspektywy dziejowej, podpisać się musimy bez zastrzeżeń pod zdaniem, ogłoszonym przez K. Zakrzewskiego, a przytoczonym jako motto niniejszego artykułu. Istotnie, z jednej strony etatyzm bywa polityką najmniejszego oporu, polityką słabości dzisiejszych społeczeństw w stosunku do ogromnych trudności, piętrzących się przed zubożającą, zbankrutowaną Europą — w tym wypadku mamy do czynienia

z jego objawami ujemnymi, scharakteryzowanymi przez nas powyżej. Z drugiej zaś strony w dodatnich swych objawach jest on jedyną doraźną drogą do przerwania kręgu bezradności, spowodowanej przez j e s c i o w o ś c i ą dzisiejszej konstrukcji społeczeństw. Jako taki, z dzisiejszą chwilą jest związany i w żadnym razie nie powinien być przyjmowany, jako polityka, konsekwentnie na przyszłość rozplanowana. Rezultatem takiej polityki może być tylko przejęcie przez państwo całokształtu produkcji — k a p i t a l i z m p a ń s t w o w y, którego nie obawiamy się dlatego tylko, że zastosowany został, bez dodatnich zresztą wyników, przez Rosję sowiecką, ale który odrzucamy *a limine*, ponieważ jest sprzeczny z naszymi założeniami społecznymi.

Dażenia nasze idą po linii rozwoju Związków Zawodowych i przejmowaniu przez nie stopniowo kierownictwa produkcji, przyczem ten proces winien w naszym rozumieniu dokonywać się spontanicznie, drogą wywalczenia sobie praw przez zorganizowany świat pracy, nie zaś w drodze ustawowego narzucania przez państwo nowych stosunków społecznych. Z tego punktu widzenia kapitalizm państwowy, jako ostateczna konsekwencja etatyzacji gospodarstwa krajowego staje się dla nas programem wysoce niepożądanym, ponieważ nie usuwa pracy najemnej, ale zastępuje jedynie mnogość pracodawców — pracodawcą jednym — państwem (vide „Projekt Manifestu syndykalistów polskich” „Przełom” r. 1928 Nr. 18). Taki zaś stan jest w rozwoju *Narodu Wytwórców*, ku któremu iść chcemy, krokiem w tył, nie naprzód!

W. A. Z.

FOCH JAKO SYMBOL IDEAŁU POLITYCZNEGO FRANCJI

Pogrzeb Focha uwydatnił w oczach całego świata potęgę geniuszu wojkowego Francji i jego supremację duchową i ideową nad wojowniczym duchem teutońskim. Nietylko naród francuski zrozumiał i uczcił w sposób godny wielkiego żołnierza, uczyniły to w równej mierze państwa sprzymierzone i kraje złączone z Francją wspólnym braterstwem broni. Focha uczczono jako tego, który oswoił prowincje okupowane przez Niemców w czasie wojny, przywrócił Francji drogę Jej sercu kraje: Alzację i Lotaryngję i wywalczył całej ludzkości wolność i niezależność od przewagi militarnej Prus.

A gdy przed zwłokami Marszałka Focha chyliły się czoła przedstawicieli prawie że wszystkich państw, autorytet moralny i polityczny Francji urósł w oczach całego świata. Uczczenie roli Focha, jako głównodowodzącego wszystkich sił militarnych aliantów, wywrze bezsprzecznie znamienity wpływ na ukształtowanie się stosunków politycznych między dwoma wielkimi narodami, t. j. Francją a Anglią, porozumienie, którego szczerze pragnie całe społeczeństwo francuskie, a któremu dał

dwadzieścia pięć lat temu początek Edward VII.

W osobie Marszałka Focha skrytykował się w sposób następujący stosunek Francji do Niemiec w związku z problematami politycznymi, wynikłymi na tle wielkiej wojny. Zdaniem zmarłego marszałka należało zachować Ren jako granicę między Niemcami a Zachodem, jako najpewniejszą rękojmię dla pokoju świata. Jako członek komitetu, który nadzorował rozbrojenie się Niemiec, Foch czuwał zgodnie ze swą misją dziejową, by Niemcy wykonały wszystkie w tym kierunku zaciągnięte przez nich zobowiązania, lecz okazał on również wrogowi łaskę chrześcijańskiego generała.

Foch mógł w r. 1918 doszczętnie zniszczyć siły wojskowe niemieckie, nie uczynił tego, idąc za głosem sumienia w imię ludzkości i zgodził się na zawieszenie broni.

To też cała opinia francuska z wielką dumą narodową wskazała na te wartości moralne i idee Focha. Przemawiały do naszej wyobraźni wspaniałe pogrzeby narodowe, który od czasów III Republiki Francja urządziła tylko w pięciu

wypadkach — pochowano w ten sposób szczątki doczesne Victora Hugo, Gambetty, Carnot'a, Pasteur'a i Faure'a.

Foch spoczywa w Krypcie „Inwalidów”, która jest miejscem spoczynku Wielkiego Napoleona, obok marszałka Turenne'a i Vauban'a.

Jako sensację dnia należało jednak raczej uważać mowę Poincaré'go, która wyjaśniła nam w sposób dokładny i niedwuznaczny quasi ex cathedra różnicę między nacjonalizmem niemieckim, przeciw któremu słusznie walczył prawie że cały świat, a patryjotyzmem Francuzów zobrazowanym w ideale narodowym Focha, który uważał wojnę za „środek do uzyskania niezależności i pełnego bezpieczeństwa, a nigdy zaś jako środek do wzbogacenia się, lub panowania nad drugim”. Francuzi odróżniają zatem nacjonalizm, jako czynnik hamujący postęp i zbliżenie się ludzkości, powstały z uczucia nienawiści i zemsty, a będący wyrazem niskiej kultury duchowej, od szlachetnego patryjotyzmu, którego zadaniem jest utrwalenie fundamentów państwa i zapewnienie mu niezależnego bytu politycznego. Polska Piłsudskiego odpowiada tej koncepcji politycznej zgodnie z naszą tradycją i duchem Wodza Narodu.

Dr. Henryk Brojdy
Paryż, w kwietniu 1929.

O ZDROWIE PRZYSZŁEGO POKOLENIA

Obecny premier, p. Świtalski, jako minister oświaty w przemówieniu swem wygłoszonym na Zjeździe T. N. S. W. *) rzucił wiele myśli o głębokiej wartości. Winny one być nietylko zaprotokółowane w sprawozdaniu zjazdu, ale stać się uzupełnieniem też wychowawczych panów nauczycieli i mieć znaczenie nakazu pedagogicznego wobec młodzieży, przygotowywanej do wolnego życia obywatelskiego. Czytamy bowiem w przemówieniu p. Świtalskiego:

„Mogliśmy dawniej iść na potępienie wszystkiego od a do zet, cóż mógł nas obchodzić los zrębów cudzych i wrogich nam państw?”

Teraz przez zbyt daleko posunięty krytycyzm, rozbijając mur ów i zręb ów, na których własne nasze Państwo jest zbudowane — niewolno! Niewolno pesymizmu swego nigdy posuwać do tych granic, poza którymi w umysłach młodzieży może się zrodzić powątpiewanie, czy Państwo tak wielkie, jakie się nieraz przed oczyma jej stawia, wytrzyma. Niewolno ani przez chwilę krytycznego wejrzenia na rzeczywistość zamieniać na bezwolne stękanie, bezwolne zrządzenie.

Tak, jak miłość do Polski w mechaniczny sposób musi zamienić się w pracę dla niej, tak krytyka tego co jest, musi zamienić się w świadomość jasną i wyraźną tego, co należy zrobić, aby zło usunąć. Jeśli lekarstwa bezpośrednio wskazać się nie umie, lepiej bezwolnego zrządzenia nie uprawiać. Nie wydobędziemy z nowego pokolenia czynnika woli, jeśli w sercach młodzieży nagromadzimy czarny czad pesymizmu i hyperkrytycyzmu w odniesieniu do dzisiejszej chwili“.

Najwyższy już czas przyszedł na wypowiedzenie tego rodzaju imperatywu. Z tego hyperkrytycyzmu bowiem odrodził się zabójczy defetyzm, w który tak niepokojąco obfituje nasze życie publiczne we wszelkich niemal dziedzi-

*) Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych. Zjazd Towarzystwa odbył się w dn. 4 b. m. w Warszawie.

nach. Pomimo kapitalnych zwycięstw narodu na polu odrodzenia i pomimo znakomitego w latach ostatnich postępu w rozwoju ulepszeń życia społeczno-gospodarczego — niezadowolenie i zręczenie wprost króluje w szeregach tych sfer społeczeństwa, którym „Polska przyszła zadarmo“, tych, którzy zdolni byli entuzjasmować się częstokroć zwycięstwami obcych.

Można wprawdzie — patrząc na to z bólem i współczuciem — znaleźć nieco wyrozumienia dla pokolenia, urodzonego i wychowanego w niewoli; skoro jednak wychowawcy, należący do tego pokolenia wszczepiają to niezadowolenie, ten hyperkrytycyzm, ten zabójczy defetyzm w dusze młodzieży — jest to zbrodnia moralną, którą ścigać i tępować należy. I dlatego głęboko rozumie swoje posłannictwo p. minister Świtalski, gdy do zgromadzonych z całego kraju wychowawców mówi o tem, co przemilczane być żadną miarą nie może, a co, niestety, przemilczane było dotąd notorycznie.

W sercach młodzieży krzewić i rozwijać należy miłość, a plenić nienawiść.

„Nienawiść do tego wszystkiego, co obce miała ongiś w polskiej racji stanu, w zastosowaniu do wychowania swoje dobre uzasadnienie, gdy chodziło o nienawiść do zaborców. Ale dziś, gdy zaborców na naszej ziemi niema, rozmięliśmy nieraz tę ongiś wielką nienawiść do ciemiężców na kultywowanie niechęci, i odrazy czy pogardy do współobywateli jednego Państwa i to Państwa właśnie naszego. Powiedziećby się nieraz chciało, że to są nienawiści, niegodne wielkiego narodu. Jest w nich jakaś małość wiary w siłę Państwa, które aż do nienawiści musi apelować, by się przed kimś rzekomo realnie i poważnie nam grożącym bronić“.

A ta właśnie małość wiary w siłę Państwa przejawia się tak często w wykładach i naukach pp. nauczycieli; ileż to razy w zacisznych salach szkół średnich w dniach 11 listopada lub innych, młodzi wychowankowie, przyszli oby-

watele Rzeczypospolitej słyszą rzeczy, zgrozę budzące; rzeczy małe, fałszywe, nikczemne.

Nie wolno! Tego nie wolno tolerować! O ile stwierdzić należy, iż poprawa moralna społeczeństwa pod tym względem postępuje naprzód niemal codziennie — to równocześnie czujność i energia rządu w tym kierunku winna być konsekwentnie ostro nastawiona. Wymaga tego najwyższy interes Państwa, tak właśnie, jak to uzasadniał p. premier Świtalski.

Obywatel wolnego Państwa Polskiego musi być człowiekiem wiary, realnego optymizmu, miłości Ojczyzny i pracy dla Niej; człowiekiem silnej, męskiej woli. Jednym z kardynalnych elementów, wyrabiających silną wolę — jest radość życia, radość wiary i pracy.

„Czynnika woli panowie bez promiennej radości nie wydobędziecie. W psychicznych kazamatach jęków, postękiwań i ubolewań ani piąstka, ani pięści się nie ścisają. I choćby niewiedomo ile głupich żarcików ukuto sobie na temat radosnej twórczości, spłyną te niewczesne kpinki jak po szkle i radzę paanom być chorążymi tej radości“.

Rada jest mądra i — wyraźna. P. min. Świtalski wprowadził do swego resortu czynnik zbawienny, a dotąd na tej drodze niespotykany: czynnik woli rządowej; czynnik męskiej woli człowieka, który zna potrzeby szkoły i wie, jaką winna być rola jej w odrodzeniu psychiki narodu.

rt.

CZYTELNIKU!

wiele jest sposobów okazywania piśmu szacunku, — życzliwości jeden tylko opłata prenumeraty!

Pamiętaj o koncie P.K.O. 13.044

CENA OGŁOSZEŃ:

Nadesłane (1 strona) zł.	800.—
1 strona zwykłe	600.—
1/2 „	320.—
1/4 „	175.—
1/8 „	90.—

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy Świat 21, tel. 339-94
Konto P. K. O. — 13.044

CENA PRENUMERATY:

Rocznie	zł. 18.—
Półrocznie	„ 9.—
Kwartalnie	„ 4.50

Za wydawców: Jerzy Szurig;

Pod redakcją: Jerzego Szuriga;

Redaktor odp.: Jan Zimosz.

Drukarnia „KADRA“, ul. Długa 50, tel. 186-30.

<http://rcin.org.pl>